

Moje szczęśliwe życie

Urodziłam się w piękny sierpniowy dzień w Szpitalu Św. Zofii w Warszawie, gdzie 60 lat później przyszedł na świat mój wnuczek Michaś. Rodzice mieszkali już w Otwocku przy ul. Samorządowej 23 (istnieje ten dom w posesji Galasów, również na jednym z obrazów autorstwa mojej Mamy, malarki i grafika – Janiny Róży Giedroyć-Wawrzynowicz). W dowodzie wpisano mi miejsce urodzenia „Otwock” (tu byłam ochrzczona w kościele pw. Św. Wincentego a’ Paulo), co dzisiaj jest dla mnie powodem do dumy, gdyż bardzo kocham to miasto. Jego sosny, jego piaski, drewniane domki z werandami oplecionymi dzikim winem, spacerunki na wrzosowiska, na Meran i zapach farb (pracowni mojej Mamy), który towarzyszył mi przez całe życie. Do matury mieszkaliśmy z Mamą w domu pp. Barańskich, na pięterku, dokąd przeniesiliśmy się w 1939 r. jeszcze we troje z Tatą, nauczycielem otwockiego gimnazjum i liceum. Ostatnie przedwojenne wakacje spędziłyśmy czyniąc objazd domów rodzinnych na Polesiu i Wołyniu, skąd (z Włodzimierza, z plebanii mego stryja, a najstarszego brata Taty ks. Dominika) Tata został powołany do wojska. Dramatyzm rozstania zatrzymała na kartach swego dziennika Mama.

Otwock. Poniedziałek, 11 września 1939 r.

[...] Od tej chwili, gdy we Włodzimierzu odwoziłam Cię nocą linijką do pociągu, gdy całowaliśmy się jak szaleńcy kryjąc łzy, wtlaczając w siebie, bo trzeba było dzielności, gdyż zawołała Cię Ojczyzna, od tej chwili rozstania – nie rozstaję się z Tobą ani na chwilę. To mi daje taką siłę, że ludzie zdumiewają się spokojem moim. A jednak kto wie, jaki to kamienny spokój, patrzę i nawet się uśmiecham, ale patrzę ślepo jak nasze zamaskowane czarne okna. Trzeba patrzeć nie widząc, trzeba myśleć nie czując, trzeba przemykać się przez zdarzenia jak mijający uchodźcy, bez zatrzymywania, dalej i dalej, aby móc wytchnąć w duchu z Tobą i Bogiem. Dlatego można przeniósć ten koszmarny sen na jawie – wojnę. Chyba Dominio przeczuł na co jedziemy. Po raz pierwszy słyszałam, że krzyknął, że nie da rady za-

trzymać nas we Włodzimierzu. Z chwilą gdy pani Iza przyniosła pod sekretem wiadomość, że słyszała przypadkiem jak naczelnik poczty czytał depezę, że powszechna mobilizacja ma być ogłoszona o 3 w nocy, natychmiast byle jak spakowałam walizkę, żeby jechać.

A my, wbrew prośbom, zaklęciom rodziny ostatnim pociągiem przyjechaliśmy do Otwocka. To był ostatni obraz mojego Taty, który podzielił los 25 tysięcy polskich żołnierzy wymordowanych przez Rosjan w Katyniu. W październikowym numerze „Gazety Otwockiej” z 2003 r. Jan Żytowiecki wymieniając nazwiska 4 zamordowanych nie trafił widać na Urbana Antoniego Wawrzynowicza, nauczyciela otwockiego gimnazjum (a parokrotnie czyniłam sprostowania na łamach „Gazety” w latach 1998-99)). [Co na to szkoła obecna, wyrosła na dobrych przedwojennych tradycjach patriotycznych? Tata był lubianym i cenionym polonistą i



Pałac w Otwocku Wielkim
- obraz подарowany Muzeum Ziemi Otwockiej



Jako pilot wycieczek - 1973 r.

brał czynny udział w życiu kulturalnym Otwocka.]

Pamiętam okupacyjne ucieczki do schronów wykopanych w ogrodzie, gdzie piasek przykrywający deski schronu wąskimi strużkami zsypywał się nam na głowy podczas ostrzału z samolotów. Pamiętam Akowców z 27 Wołyńskiej przechowywanych u nas przez Mamę i wejście żołnierzy radzieckich, którzy zajęli 1 z 2 pokoi na naszym pięterku, pożyczając „tego, co się u was używa” na własne przyjęcia. Pamiętam jednego z uczniów Taty, który przychodził z getta do mojej Mamy, po odrobinę jedzenia, a potem przestał przychodzić... Pamiętam jego zmarznącą sylwetkę; wydawał mi się stary, a nie miał pewnie jeszcze 20 lat.

Tak więc ukończyłam liceum ogólnokształcące w Otwocku i nie dostawszy się na ASP przez dwa lata próbowałam swoich sił na Wydziale Architektury PW. Przeniosłam się jednak na Uniwersytet Warszawski, gdzie ukończyłam sekcję historii sztuki Wydziału Historycznego.

Miałam wyjątkowe szczęście do nauczycieli humanistów, od moich rodziców zaczynając, po Wacława Brzezińskiego i J. Korcza, Fr. i N. Adamskich, nauczycieli akademickich i prof. T. Jaroszewskiego, prof.

A. Gieysztor. Na egzaminie magisterskim otrzymałam od prof. Lorentza „ostrogę” i błogosławieństwo na drogę popularyzacji sztuki. Usłyszałam, że będę bardzo dobrym popularyzatorem nauki, a właściwie już jestem. Studiując pracowałam jako warszawski przewodnik powolutku zdobywając wszystkie możliwe stopnie (z czasem prowadząc wykłady na kursach dla przewodników) i trzy języki obce (rosyjski, czeski i włoski). Oprowadzałam i oprowadzam turystów Rosjan, dzięki Natalii Adamskiej, której klasa językowa i znakomity akcent były mi bardzo pomocne. Włoski zaś dzięki życzliwości Aleksandra Gieysztor, który dwa razy akceptował moje wyjazdy stypendialne do Włoch. Kocham Włochy i ich kulturę. Będąc w Rzymie poczułam się jak w domu. To wychowanie łańciskie Frania Adamskiego, mojego chrzestnego ojca.

Od dwudziestu paru lat opowiadam o sztuce potrzebującym, tj. dzieciom w szpitalu w Międzyzylesiu, Józefowie czy przy Spartańskiej, więźniom na Rakowieckiej i w Olszynie Grochowskiej, chorym psychicznie w licznych przychodniach dziecięcych. Jest to działanie przez sztukę i bycie z tymi ludźmi. Spotkania zawsze ilustruję przezroczkami, operuję kilkudziesięcioma tematami i bardzo się smucę, gdy na zlecenia (jestem wszak na emeryturze) braknie sponsora. Chorzy czekają, pytając za każdym razem: „Kiedy Pani do nas przyjedzie, pani Różo?”. Gdy w dobie kryzysu przedstawiłam jednej z otwockich szkół propozycję spotkań ze sztuką, zaproponowano mi bezpłatną pokazówkę, zaś i tak z braku funduszy do realizacji spotkań nie doszło. Pragnę przybliżyć piękno, barwę świata, opowiadam o malarzach i dworach królewskich, o Zamku Kró-



Kiermasz albertyński w kościele środowisk twórczych w Warszawie 2004 r

lewskim i ludziach, którzy go tworzyli. Z mojego dzieciństwa, nieustannego obcowania ze sztuką mam potrzebę operowania kolorem. Z wielką satysfakcją uczęszczam na zajęcia malarskie na Zamku, których wynik prezentowałam na kiermaszu albertyńskim w Kościele Środowisk Twórczych u ks. Niewęglowskiego na placu Teatralnym w Warszawie w czerwcu 2004 r. Właśnie taka akwaforta z MB Nieustającej Pomocy stała się pamiątką naszego drugiego spotkania pomaaturalnego w tym roku.

Jestem człowiekiem ceniącym niezależność – co podkreśla moja bardzo udana córka Anna Katarzyna, nauczycielka germanistka. Myślę, że i ona odziedziczyła po Babci

wrażliwość, wycucie harmonii i barw.

Mój mąż Jurek, człowiek wielkiej inteligencji, pracowitości, zaradności, błyskotliwy, uczciwy, przyjaciel dający poczucie bezpieczeństwa zmarł przed 22 laty (po 23 latach wspólnych dążeń) i brak mi go często do dziś.

Cenię sobie bardzo przyjaźnie i te licealne, i jeszcze starsze, z dzieciństwa. Dają mi nie tylko pomoc, radę, oparcie w trudnych chwilach życia, ale też poczucie trwałości i istnienia w miejscu, z którego wyrastają moje korzenie. Życie jest piękne, choć czasami trudne.

Róża Wawrzynowicz-Billip